

Rzeka Życia Marqueza

Woda jest podstawowym warunkiem istnienia życia. Wiedzą o tym wszyscy. I nawet ci, którym leci woda z kranów, a którzy nie zawsze wiedzą skąd w owych kranach woda się bierze mają w swym wnętrzu, może nie zawsze wprost odczuwalny, wynikający natomiast prawdopodobnie z ewolucyjnego rodowodu, intymny związek z wodą. Któż nie doznaje wzruszenia na widok rwącej rzeki, czy bezkresu morza. Któż oprze się odruchowi zanurzenia choćby dłoni w zimnej wodzie górskiego strumienia.

Nasi przodkowie osiedlali się zwykle nad rzeką. Prawie każde miasto leży nad jakąś rzeką, lub tym co rzeką było kiedyś. Żyją, ekspresyjną, zmieniającą się nieustannie istotą. Każda rzeka miała swój niepowtarzalny charakter, swoje zwyczaje, dawała, ale i potrafiła zabrać. Psociła, trwożyła, sama uczestniczyła w zależnościach, od deszczu, śniegu, mrozu czy wiatru. Miała duszę. Należało o nią dbać. Obdarowywać, przeproszać, zapraszać do wspólnych rytuałów. Był to oczywisty, egzystencjalny związek wynikający ze współistnienia.

W magazynie „People and the Planet” poświęconym w całości rzekom możemy znaleźć opowieść wybitnego współczesnego pisarza kolumbijskiego, noblisty Gabriela Garcii Marqueza o rzece jego życia. To wielka Magdalena spływająca z Kordyliery Środkowej i Wschodniej do morza Karaibskiego. Marquez podróżował po rzece dwa razy w roku, płynąc do szkoły, a potem na studia do Bogoty. Píše, że tylko ponowna podróż parowcem po Magdalenie mogłaby stanowić coś w rodzaju powrotu do jego dzieciństwa. Była to prawdziwa nauka życia, doświadczenie znacznie cenniejsze od wiedzy nabytej w szkołach. Podróże parowcem po Magdalenie przewijają się w „Miłości w czasach zarazy”, powieści, dla której rzeka stanowi jedyne w swoim rodzaju tło i klimat. Podróż z dzieciństwa pisarza to kilka tygodni (czas bliżej nieokreślony, uzależniony od poziomu wody i wielu innych czynników przyrodniczych) przedzierania się wodą przez dżunglę wśród odgłosów skaczących po drzewach małp, wrzeszczących, kolorowych papug i płacznego śpiewu krów morskich o wielkich matczyńskich piersiach, karmiących

swe małe i zawodzących głosem zrozpaczonej kobiety. W przybrzeżnych parowach wylegiwały się całymi godzinami kajmany, udające zdechłe koty, i otwartymi paszczami czatując na motyle. Mijane mokradła zaskakiwały bogactwem wałęsającego się ptactwa, które zrywało się raptownie do lotu na widok statku. Nauka w szkole była tylko pretekstem do odbywania tej bajecznej podróży.

Żegluga rzeczna rozwijała się, parowce potrzebowały coraz więcej drewna, a ulubionym zajęciem coraz liczniejszych pasażerów stało się strzelanie do krów morskich, do ich dzieci, do aligatorów i wszystkiego co znalazło się w zasięgu strzału. W książce i artykule Marquez opisuje drastyczne sceny zabijania niejednokrotnie jednych z ostatnich osobników wszystkich tych zwierząt, rozpacz kapitana statku i ludzi, dla których rzeka i wszystko co ją stanowiło było święte, a nieubłaganie odchodziło w przeszłość. Dziś Magdalena jest martwa, woda zatruta, a zwierzęta wybite do reszty. Bezsensowne wycinanie lasów zniszczyło rzekę w 50 lat. Kotły statków parowych zżarły puszcę porośniętą wielkimi drzewami, które kiedyś swymi wymiarami i siłą wzbudzały trwogę. Łowcy skór z nowoorleańskich garbarni wybili kajmany, Mówienie o zabiegach konserwatorskich czy rehabilitacji rzeki jest śmieszne. Wymagałoby to wielkiego wysiłku co najmniej czterech kolejnych pokoleń. Próbuje się dziś sadzić wzdłuż brzegów drzewa. Nic bardziej żałostnego. I nie problem w ilości drzew, jakie należałoby posadzić, ale w tym gdzie to robić. Prawie wszystkie tereny wzdłuż rzeki są prywatne, użytkowane jako pastwiska. Jest rzeczą niemożliwą skłonić właścicieli tych ziem do zrezygnowania z większości swoich dochodów i posadzenia drzew. Magdalena jest ściekiem wszystkich możliwych nieczystości. To, co ją wypełnia nie nadaje się do niczego i już dawno przestało pełnić życiodajną rolę wody. Pozostanie już tylko wyciskającym łzy żalu wspomnieniem dla tych, którzy ją kochali.

Marta Lelek